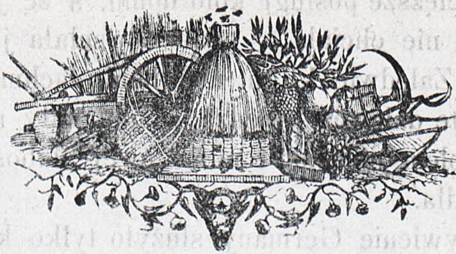
Tom XIV. Nr. 8.

11. marca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chleb i kwiaty.

Opowiemy wam piękną legendę o pewnej świętobliwej dziewicy, którą kościół święty za jej życia wielkich cnót i zasług pełne, zaliczył do rzędu świętych i błogosławionych niewiast. Dziewicą tą jest błogosławiona Germana.

Błogosławiona Germana żyła za dawnych, bardzo dawnych czasów w kraju francuzkim. Była ona córką wieśniaka a pan Bóg zaraz w dziecinnym wieku ciężko jej doświadczył, bo po śmierci swej matki dostała błogosławiona Germana macochę, bardzo srogą i nielitościwą niewiastę.

Biedna sierotka Germana musiała ciężką znosić niedolę. Macocha kochała i pielęgnowała tylko swoje własne dzieci a o biednem dziewczątku nie tylko że nigdy litośnem nie pamiętała sercem — ale do tego jeszcze trapiła tę sierotkę z złością i okrucieństwem. A do tego wszystkiego była błogosławiona Germana z natury chorowitą dzieciną. Macocha nie pozwalała jej nawet spać razem z innemi dziećmi w izbie, tak że potulne dziewczątko usłać sobie musiało łoże w sieniach, i tu na kupie chrustu spoczywało po codziennej pracy.

A praca ta była ciężka bardzo — mimo że błogosławiona Germana zaledwie kilkanaście latek liczyła. Macocha kazała jej spełniać najcięższe posługi koło domu, a że jej nie cierpiała i nawet widzieć nie chciała — więc wysełała ją zawsze paść bydło w pole. Zaledwie kilku ubogiemi łachmankami okryte, musiało to święte dziewczę spędzać dzień cały na słocie i niepogodzie pod gołem niebem i mimo swej słabości biedzieć się pilnowaniem bydła.

Za całe pożywienie Germany służyło tylko kilka kawałków suchego chleba, które jej nielitościwa macocha dawała. Błogosławiona Germana nietylko że bez szemrania na tej nędznej strawie poprzestawała, ale do tego jeszcze odejmowała sobie sama od ust chleb i dzieliła się nim z ubogimi. Był we wsi jeden ubogi żebrak staruszek i jemu to błogosławiona Germana codziennie dawała połowę swego chleba.

Ubogi ów staruszek, zdziwiony tem miłosierdziem biednej dziewczynki, rozpowiadał o tem we wsi całej; chwaląc litościwe serce sierotki, która skąpem swem jadłem z nędzarzem codziennie się dzieliła. Ten piękny uczynek podobał się bardzo wszystkim ludziom i wszyscy też z pochwałami wspominali o biednej sierotce i wyrzekali przy tem na macochę, że tak srogo się z nią obchodzi.

Dowiedziawszy się o tem macocha, wielce się rozgniewała, bo złych ludzi nawet dobry uczynek innego gniewa, i przemyśliwała nad tem, jakby się tu na bogobojnem dziewczęciu pomścić. Uknuła tedy przeciw błogosławionej Germanie taką brzydką zdradę. Popodrzucała naumyślnie w sieniach kawałki chleba i tak sobie pomyślała:

— Germana pewnie ten chleb wyzbiera i idąc w pole z sobą weźmie, aby je rozdać po drodze ubogim. Wtedy ja ją przetrzęsę i powiem, że chleb ten ukradła w domu.

Dlatego też, nim jeszcze to uczyniła, poczęła przed mężem i przed ludźmi skarżyć się i rozpowiadać, że błogosławiona Germana chleb jej z domu wykrada. Ale Bóg czuwał nad świętą sierotką. Błogosławiona Germana znalazłszy w sieniach chleb popodrzucany pozbierała go z ziemi, schowała do fartuszka i tak raniutko wybrała się z bydłem w pole. Ale macocha cza-

towała tylko na to i ledwie biedna sierotka o kilkadziesiąt kroków oddaliła się od chaty, narobiła ogromnego wrzasku w domu i pobiegła za nią z kijem.

Prędko też dopędziła Germanę, a na krzyk macochy zbiegli się ludzie ze wsi. Biedna sierotka stanęła zdziwiona, nie wiedząc czego ją ściga macocha. Macocha zaś dopadłszy jej poczęła wołać:

— Patrzcie na złodziejkę! Codziennie mi chleb wykrada z domu a i dzisiaj go wynosi w pole. Nie chcieliście mi wierzyć ludzie, teraz się sami przekonajcie! Oto patrzcie, pełny ma fartuszek kradzionego chleba!

I podniosłszy kij uderzyła nim po rączkach świętobliwę sierotę, aby opuściła fartuszek i aby wypadł chleb. Germana opuściła ręce — ale oto patrzcie, z fartuszka zamiast kawałków chleba wypadły na ziemię p r z e c u d n e k w i a t y, n a j p i ę k n i e j s z e g o k o l o r u i z a p a c h u!...

Posypały się te prześliczne kwiaty na ziemię — a macocha i ludzie stanęli jak wryci na widok tego bożego cudu. A były to iście kwiaty z nieba, bo nikt takich w całej okolicy nigdy nie oglądał. Wielkie zdziwienie opanowało wszystkich, a nienawistną i okrutną macochę strach ogarnął srogi i z wstydem i trwogą odeszła od świętej sierotki!...

Macie w tej pięknej legendzie o kwiatach św. Germany wyraźny przykład, jak miłem jest Bogu serce miłosierne i litościwe — i jak cudownemi sposobami strzeże on przed złością ludzką tych, którzy serce takie posiadają!

Pogrzeb.

Umarła sierota wśród obcych uboga,
A co to sierota wy wiecie —
Ni ojca ni matki nie miała nieboga
I sama, i smutna na świecie.

Oblekli ją na śmierć, i w trumnę włożyli
Na długie — na wieczne już spanie,
I deską ją z krzyżem na wierzchu przykryli,
Skończyła już ziemskie wygnanie.

I wózek zaskrzypiał, — pociągnął wnet sporo,
I orszak też ruszył się drogą.
I ze wsi gromadka, ze dworu kilkoro —
A więcej — nie było nikogo.

Na pysznych pogrzebach to ludu tysiące
I ludu też wielka tam siła.
I każdy rad biegnie — tam światła jarzące
Tam kwiatem okryta mogiła.

Tu cicho, i cicho, — tu ludzi tak mało —
Stanęli pod krzyżem w pokorze.
A babka za zmarłą głos wznosi nieśmiało
I żegna, dziękuje, jak może.

Skończyła już mowę — a każdy od krzyża
Już wraca do domu, do siebie —
Do trumny sieroty nikt się tu nie zbliża,
Bóg chyba ją garnie tam w Niebie.

Ostatni raz słońce zabłysło z za chmury,
Zachodzi za pola, za drzewa —
Głos babki zachrypły wciąż płynie do góry,
Jak idzie za trumną, pieśń śpiewa.

I dziewki dwie młode łzy lejąc serdeczne
Zdążają pobożnie tąż drogą, —
Garść ziemi przyrzucą na spanie jej wieczne,
Bo razem służyły z niebogą

Bóg zapłać takiemu, kto chętnie rad idzie
Za cudzym, za nędznym pogrzebem —
Za zmarłych się modli, sierotę w jej biedzie
Nakarmi i solą, i chlebem.

Bóg w życiu wspomoże, i o nim pamięta
A gdy już czas śmierci nastanie —
W tę chwilę okropną — to Marya Święta,
Uprosi mu lekkie skonanie.

Antonina z nad Warty.

Matwijowy dzwon.

Powiastka z dawnych czasów.

We wsi Dąbrowie pod cerkwią na starem cmentarzysku bawiły się dzieci. Jedne stawiały sobie domki z trzasek, drugie sadziły drzewka na piasku, inne wziąwszy się po pod ręce biegały na około dzwonnicy, chowały się i goniły jedno za drugiem, ot zwyczajnie młode jeszcze, to puste i wesołe, jak wszystko młode na tym bożym świecie!...

— Józku!... — mówił mały, czarniawy chłopak do drugiego, biorąc go pod rękę — bawmy się obadwa w chowankę!... Dobrze?...

— Dobrze!... bawmy się!... ozwał się Józku i podskoczył wesoło — ale ty Antku musisz pójść do dzwonnicy i tam dopóty siedzić, dopóki ja się nie schowam!...

— No dobrze!... ale potem ja się schowam... dobrze?... dodał Antek biegnąc do dzwonnicy.

— Ajakże!... a potem ty!... ozwał się Józiek chowając się za budę wartownika — ale słuchaj Antku!... nie patrz się, zamknij lepiej oczy, bo ja się nie będę bawić!...

— Dobrze, dobrze!... taż ja się przecie nie patrzę!... wołał swawolny Antek z dzwonnicy zaglądając przez szpary starych, porozsuwanych ścian.

— Nie patrz się!... nie patrz!... mój Antku!... prosił chłopak włażąc ukradkiem do budy.

— A co? już!!... zawołał niecierpliwy Antek z dzwonnicy.

— Już!... ozwał się głos z budy a Antek podskakując wesoło wybiegł z dzwonnicy.

Wtem przez małą furtkę z ulicy wszedł stary Maksym cerkiewny, biały już jak gołąbek i skurczony starością we dwoje i wszedłszy do dzwonnicy zaczął przedzwaniać wieczorny „Anioł Pański". Wieczór był piękny, pogodny, na niebie nie dojrzałbyś ni jednej chmurki, a w powietrzu pełno było tej błogiej woni, co to ożywia i uzdrawia człowieka po zimnych zawierzuchach zimowych do jakiegoś innego młodszego życia. Było to bowiem jakoś w drugiej połowie maja. Drzewa roz-

zieleniły się zupełnie, niektóre nawet bieliły już gęsto kwiatem, a z ziół wonnych pracowita pszczółka zbierała już słodycz i z brzękiem odlatywała do ula.

Antoś zdjął czapkę z głowy, i zaprzestawszy dalszej zabawy ukląkł i zaczął głośno odmawiać Anioł pański. Józko także wyszedł z budy i nabożnie przeżegnawszy się zdjął kapeluszyk.

— Klęknij Józku... ozwał się Antoś — i odmów ze mną paciorek... Dzisiaj świętego Matwija.... A Tatuś mi powiadali że tak samo nazywał się mój dziadek, co go to dawno już temu, bardzo dawno wzięli Tatary w niewolę!...

— Biedny!... szepnął Józko klękając przed krzyżem — a czy ty go pamiętasz?...

— Oj nie pamiętam ci ja go ani raz!... Tatuś mówili, że ja wtenczas byłem jeszcze taki mały, jak twoja siostrzyczka Halka, i jeszcze dobrze gadać nie umiałem, kiedy dziadunia popędzili na Tatary!...

— I cóż się z nim tam biednym stało?.. Czy żyje jeszcze nieboraczysko? pytał ze łzą w oku Józko.

— Ha!... Bóg to jeden raczy wiedzić!... odpowiedział Antek. Może żyje, a może gdzie jaki Tatar niewiara już dobił!... Tatuś opowiadali mi bardzo wiele strasznych rzeczy o tej niewoli Tatarskiej!... Ciężko tam ludziom wytrzymać w nędzy i strasznej katuszy, toż umierają i giną prędko by kwiatki kosą podcięte!...

Józko złożył ręce nabożnie i zaczął odmawiać głośno paciorek za nieszczęśliwym dziaduniem Antosia. Antek po odmówionej modlitewce przeżegnał się i pobiegł do dzwonnicy, by wyręczyć starego cerkiewnego. Maksym usiadł sobie na schodach i założywszy ręce szeptał pacierz, a Antek wydrapał się żywo na górę i pociągnął za sznur od starego. wielkiego dzwonu. Dzwon ten kupił był dla cerkwi w Dąbrowie dziadek jego przed czterdziestu laty, kiedy o młodych jeszcze siłach spieszył z królewskiem wojskiem na Tatara. Potrzeba była wtenczas w kraju wielka, jaki taki, stary czy młody, panek czy włościanin zaciągał się w szeregi, by z Bożą pomocą obronić żony, dzieci i matki przed najazdem strasznego pogana,

corok w rok prawie napadał nasze ziemie. Z Dąbrowy wybierało się huk parobczaków. Matwij miałci już prawda żonę i dziatki, aleć był jeszcze młody, miał zdrowe i silne ręce, któremi nie jednego Tatara niecnotę mógłby z Bożą pomocą zadławić. Trudno więc było doma za piecem kaszę jak to powiadają zjadać, gdy wołało sumienie i nieszczęśliwa ojczyzna. Uściskał żonę i dziatki, a odchodząc na wojaczkę, rzekł:

— Na bożą chwałę, aby Pan Jezus miłościwy pomagał dobrej sprawie i dozwolił szczęśliwie wypędzić wroga z kraju kupiłem dla cerkwi naszej dzwon. Może on wydzwoni dla nas łaskę Jego przenajświętszą, może wrócę do was z wojaczki zdrów i cały z radośną nowiną na ustach. Ile więc razy zadzwonią na Anioł pański, wspomnijcie sobie o Matwiju, i zmówcie za nim modlitwę....

Pojechał, a od tego czasu dużo, dużo minęło lat. Od Kordonu przeróżne zalatywały wieści o królewskiem wojsku, co krwawe ścierało z pohańcem boje, Tatar pobity i zgromiony wymykał się już w swoje bezludne stepy, a nieszczęśliwy kraj odżywał powoli po klęskach i pożogach. W Dąbrowie oczekiwano Matwija. Dzwon co wieczoru uderzał na Anioł pański i co wieczoru klękała rodzina Matwijowa pod cerkwią. I modlili się biedni za Matwijem, a dzwonek tak smutno i głucho coś jęczał i zawodził jakby powiadał:

— Zabili, zabili!...

Minęło jeszcze więcej lat, a Matwij jak poszedł, tak i słych po nim zaginął, by kamień w wodę wrzucił. Aż dopiero jakiś zabłąkany z dalekiej strony dziadek przywlókł się do Dąbrowy z smutną nowiną, że Matwija pojmali Tatary w niewolę, i zapędzili daleko gdzieś aż w Nogajskie czy krymskie stepy. I znać było to prawdą, bo Matwij już nie wrócił. Żona się przygarbiła, a włosy pobielały staruszce by śnieg, syn się ożenił i w chałupię zrobiło się jakoś weselej i pełniej. Urodziło się jedno dziecko i drugie, na chrzest święty przydzwaniał im dzwonek nieszczęśliwego dziadka, dziecięta rosły zdrowo i Pan Bóg miłościwy czuwał nad chatą Matwijową. A staruszka babka patrząc na wnuczęta kiwała jeno smutnie białą głową ta i szeptała sobie:

— Hej, hej! gdyby też to jeszcze mój stary wrócił, tożby to było radości i wesela niemało!... Tyle lat już, tyle jak poszedł na pohańca, mój Boże!...

Tak to było w Matwijowej chacie i tak stały rzeczy w naszej opowiastce, gdy młodziutki Antek dzwonił w cerkiewce na „Anioł Pański“, a stary Maxym szeptał pacierz za duszę Matwija.

— Bim! bam! bim!... powtarzał sobie Antek i ciągnął za sznury dzwonu — jakżeż to dzisiaj czegoś ładnie dziaduniowy dzwonek dzwoni!... Nie tak jakoś smutno i ponuro jak wtedy, kiedy to mieli zabrać dziada Tatary!...

— Dzwoń, dzwoń dziecko moje!... ozwał się stary cerkiewny — może wydzwonisz zbawienie nieszczęśliwemu dziadkowi!

Antek dzwonił dalej, a dzwon odzywał się coraz głośniej, a tak jakoś dźwięcznie, swobodnie i czysto, jak nigdy!...

Tymczasem drogą od starego młyna pod wierzbami ku cmentarzysku szedł jakiś przygarbiony a jak gołąb bieluteńki dziadek, dryptał nogami i podpierał się kijem, a snać mu bardzo coś było spieszno, bo ciągle jeno patrzał ku cerkwi i dzwonnicy, zkąd dzwonek na „Anioł Pański“ dzwonił, a staruszek coraz to raźniej spieszył...

Nareszcie zbliżył się do cerkwi...

Dzwonek przestał tętnić, a staruszek oparł się o drewniany parkan cmentarny, a na twarzy jego znać było wielkie wzruszenie. Twarz pomarszczona zarumieniła się by za młodych gdzieś jeszcze latek, z oczu ciurkiem lały się łzy, a kolana drżały jak listki osiczyny i gięły się ku ziemi....

Wyszedł cerkiewny Maxym z małym Antkiem z dzwonnicy i powoli zbliżali się obydwaj ku furtce. Antek podskakiwał wesoło i pokręcając biczykiem wybiegł o kilka kroków naprzód, aż się zbliżył ku białemu staruszkowi, co przykląkł pod parkanem.

— Ojcze Maxymie!.. patrzcie jaki tu siwiuteńki biedny dziadek klęczy!... trzeba mu przynieść kawałek chleba i jaką strawę ciepłą, by się pożywiło biedactwo!...

Maxym przystąpił do dziada i pyta:

— A zkąd wy biedny człowiecze?... Czy z bardzo dalekiej strony?...

A stary jeno machnął ręką i szepnął:

— Długo by o tem gadać, z jakiej mnie bieda przygnała strony... ot lepiej, że nie powiem...

I łzy mu się zakręciły w oczach...

Po chwili cichszym głosem zapytał:

— Czy nie zapomnieli tu jeszcze w siole o starym Matwiju, co go to przed czterdziestu laty pojmali Tatary w niewolę?

— A coby mieli zapomnieć... odpowie cerkiewny — a toć nie słyszeliście przecie dzwonek na „Anioł pański“ za duszę starego!...

Dziadek pochylił nieznacznie głowę ku ziemi ta i pyta:

— A żyją w chacie jego wszyscy?

— Żyją chwalić Boga zdrowo.... a to wnuczek Matwijowej... dodał wskazując na Antka — patrzcie jeno jaki tęgi chłopak!...

Stary zatrząsł się naraz jak w febrze, wyciągnął rękę do małego i zawołał:

— Dziecko moje!... moje dziecko!...

I czy uwierzycie moiście wy mili, był to stary Matwij co przed czterdziestu laty poszedł był na Tatara, a teraz zgarbiony we dwoje i biały jak gołąb wrócił z dalekich stepów, z ciężkiej niewoli pogańskiej...

Wkrótce zbiegła się cała rodzina Matwijowa, a co było radości i płaczu, łez i wesela, tegoż zdaje mi się opisywać wam nie potrzebuję. Co się zaś z Matwijem przez tych czterdzieści lat działo, to wam tu zaraz opowiem.

Nieszczęśliwym trafunkiem pojmany przez Tatara, spędził długie lata jako niewolnik u jakiegoś tam baszy czy beja tureckiego. Matwij znał się na ogrodnictwie, więc go oddano na pilnowanie ogrodów baszy. Matwij był pracowity, cały dzionek Boży przepędzał przy kwiatach i grzędce, więc go polubił pan jego i nieraz bywało gdy przyszedł z fajką po obiedzie do ogrodu, to pracującemu przy kwiatach kazał opowiadać o rodzinnym kraju, o ojczystem siole i o swoich...

Razu jednego któryś z przybocznych wodzów przywiózł baszy w ofierze wielki dzwon, złupiony w jednej z znaczniejszych cerkwi na Rusi. Basza kazał dzwon ten wieść do ogrodu

i tam go postawić, aby go później przelać, bo Turkom nie trzeba dzwonów. Gdy go ustawiano, dzwon zajęczał kilka razy, a stary Matwij, co pracował wtenczas w ogrodzie przy kwiatkach usłyszawszy dzwonienie, zapłakał...

Spostrzegł to Basza a gdy go zapytał o przyczynę, Matwij odpowiedział:

— Odchodząc na wojnę, zostawiłem w siole rodzinie mojej na pamiątkę dzwon, którego dzwonienie ma im przypominać zawsze nieszczęśliwego Matwija. Wspomniałem sobie teraz o tem, przyszła mi na myśl moja ukochana rodzina, co przy wieczornym dzwonku zasyła gdzieś tam za mną modły do najmiłościwszego Boga, więc mi się smutno zrobiło, ta i zapłakałem...

Poruszony do łez Basza udarował w tej chwili wolnością nieszczęśliwego niewolnika, dał mu na drogę pieniądze, i do granic swego państwa kazał staruszka odwieść własnym kosztem.

Tak to i u pogana znalazło się serce, co uczuło nędzę i niedolę ludzką i zapłakało łzami miłości bliźniego!...

Matwij żył jeszcze potem dwa lata, doczekał się z wnucząt pociechy, a gdy umarł, to kilkanaście gromad z okolicznych wiosek wyległo na pogrzeb dziewięćdziesięcioletniego staruszka. Dzwon jego do dziś dnia wisi w dzwonnicy w Dąbrowie, a kiedy wieczorem dzwoni na „Anioł pański" to prawnuki Matwja spieszą na cmentarzysko, by odmówić pacierz za duszę Tatarskiego jeńca...

Tomek z nad Styru.

Dwa pisania: o pijaństwie i zabobonie.

Chociaż przy Bożej pomocy lud się coraz bardziej oświeca i stare wady porzuca, to przecież znajdują się jeszcze tacy, co im wszelka nauka tyle pomaga, jak gdyby kto groch rzucał o ścianę. Jeszcze to nie jeden i nie stu między wami, kochani ludkowie, nie nawykło do trzeźwości i często przelewa miarkę a w pijanym stanie sobie wielką szkodę robi i o stratę przyprawia. Czasby już był wielki, aby choć w dzisiejszych czasach opamiętali się ci, co nałogiem pijaństwa marnują zdrowie i dobytek! A znów są jeszcze tacy, co mimo nauk rozumnych ludzi i swoich kapłanów jeszcze wierzą w zabobony i gusła,

co jest rzeczą bardzo brzydką i głupią. Kto wierzy w zabobony, ten się najłatwiej daje wodzić za nos oszustom i stratę ponosi, a nie tylko że Boga tem ciężko obraża, ale się jeszcze i na śmiech u ludzi wystawia. Dostałem ja dwa pisania z Bachorza wedle tej sprawy i pisania te drukuję wam dla przestrogi, i aby ci co jeszcze tak źle robią, przyszli do rozumu.

I.

Sztuka pijacka.

Pewien gospodarz z Bachórza zwany Kazimierz S. zgodził się ze czterma żydami, odwieść ich z Dynowa do Dubiecka, a piątego wziął w dodatku, aby więcej zarobił. Gdy ich odwiózł do Dubiecka, to tych czterech zostawił a piątego wziął nazad do Dynowa, bo taką miał z nim zgodę. Żyd ten nie był jemu znajomy, bo to był zkądciś zdaleka. Mówi mu żyd:

— Wiecie co gospodarzu pojedźcie ze mną do Przeworska, to wam razem zapłacę, i zgodził się za trzy ryńskie, aby zaraz na drugi dzień z nim jechał. Po tej zgodzie dał mu na zadatek trzydzieści krajcarów i wódki co chciał. Niedosyć było Kazimierzowi tego, co miał w pałce, ale jeszcze zjechał do karczmy, która przy drodze stoi, i tam zastał parę kamratów takich jak i on, wtenczas rozpoczęli dalszą pijatykę, jeden drugiemu życzył zdrowia a kieliszkiem do gardła dobrze nalewał, jak się już na mądre popili wtenczas ledwie jeszcze na swoich nogach Kazimierz przyszedł do wozu, ale nie był w stanie wydobyć się na wóz, bo już było zanadto w pałce, aż go drudzy ledwo podsadzili, bo także byli pijani.

Tak jadąc do domu ślicznie zasnął na wozie tylko go koniska same prowadziły. Skoro konie pomiarkowały, na którą drogę mają się brać do domu, tak zaraz skręciły ku sobie: przednia połowa wozu przeszła przez mostek a zadnia wpadła pod mostek, to i koniska stać musiały, bo na żaden sposób nie mogły iść dalej gdy ich wóz trzymał, a on na mądre spi na wpół pochylonym wozie, i on byłby wypadł do rowu ale że w przedzie wozu spał, to nie wypadł. I możebyjbył do drugiego dnia tam odpoczywał, gdyby nie żandarmi, co szli z patroli na-

trafili na niego, zaczęli go budzić aby mogli rozpoznać kto on jest, ale tego dokonać nie mogli bo był bardzo pijany, wydobyli wóz z pod mostka i konie cofnęli na gościniec, aby się przekonać, do kogo te konie należą i kto on jest, posiadali na wóz i jadą do bliskiej karczmy Chodorówki. Znowu im się przygoda stała, bo im obręcz z koła spadła, którą ledwo za pomocą światła i latarni znaleźli, przyjechali do karczmy i zastali tam kilku chłopów siedzących, kazali tego pijaka zdjąć z woza i przyprowadzić do karczmy, aby go poznać, bo to było koło dziesiątej godziny. Przynieśli go chłopi do karczmy bo sam jeszcze nie był w stanie pójść, postawili go na środku izby ale słowa u niego trudno było się dopytać, bo się jeszcze nie wyszumiał ale zdjęli z niego pas, kożuch i kamizelkę bo myśleli, iż ma jakie przy sobie pieniądze, ale żaden pijak nie miał nic przy sobie to i on nie miał, ani też nie wiedział, co się z nim działo, kazali go odnieść nazad na wóz, i jednemu z tych chłopów wsiąść na wóz i odwieść go do domu. Jak tylko ten nadany woźnica wsiadł na wóz i ruszył końmi, tak w kilku krokach obleciały zwona czyli okład z koła, tylko na samych sprychach jechał z nim do domu. Przyjechawszy na podwórze zawołał na domowych, którzy go wzięli do izby aby się smaczniej przespał niżeli na wozie. Zerwawszy się równo ze dniem pyta się: Gdzie ja jestem? bo nie mógł pomiarkować gdzie się znajduje, jak mu tam odpowiedzieli mówi: to ja tego nie wiem, i dalejże zaczyna na tę ugodzoną furmankę wóz ładować aż patrzy, a tu koła nie ma tylko głowa ze sprychami i to jeszcze sprychy obłamane, uchwycił się za głowę pomyślał coś trochę. Złapał ten kawałek obłamany na ramię i poszedł do kołodzieja aby mu przed południem zładował, bo po południu miał już jechać na furmankę, ale kołodziej mu odpowiedział:

— Panie bracie po trocha było pić to i koło by jeszcze było niezepsute a ja na ten czas co wy chcecie nie jestem w stanie zrobić.

Powróciwszy do domu pożyczył koła u sąsiada i dalejże na furmankę, wziął tego żyda na furę i pojechał z nim do Przeworska, zajechał tam z wieczora we czwartek a na drugi dzień, to jest w piątek powracając do domu, przyjechał do Ja-

wornika w wieczór i chce jechać do Dynowa ale żyd na to:

— Ja nie pojadę dalej, bo u mnie szabas, to muszę tu szabasować, a wy jak chcecie to czekajcie na mnie, a jak nie będziecie czekać, to ja za te pieniądze coście się ze mną zgodzili najmę sobie innego furmana i po szabasie odwiezie mnie do Dynowa.

Myśli sobie Kazimierz:

— Drugi raz wracać się z domu o milę to niewarta, lepiej na niego poczekać a po szabasie to pojedziemy śmiało, bo sobie konie wypoczną.

Powsiadali na wóz po szabasie i jadą śmiało do Dynowa, a koniskom co chwila to rachuje batem po grzbiecie, aby prędzej leciały, nie ma mu się co dziwować że tak konie szczerze okładał, bo miał głowę niepróżną, przyjechał niedaleko Dynowa stanął koło karczmy mówi żydowi:

— Teraz mi zapłać bo cię dalej nie powiozę! A żyd na to:

— Ja cię zgodził do rogatki, to jak mię tam nie odwieziesz to ci nie zapłacę.

Nie myśląc on wiele wlepił koniskom kilka batów po grzbiecie i ruszył pędem, aby jak najprędzej odwieść i pieniądze za furmankę dostać. Przyjechał do rogatki i mówi żydowi:

— Teraz mi daj moje pieniądze, bo mi potrzebno. A żyd na to:

— Kiedy nie mam drobnych, ale chodźcie na miasto to wam tam zapłacę.

— A przy kim że ja konie zostawię?

— Co mi do tego, przy kim? poszukajcie sobie kogo co wam przy koniach postoi a sami chodźcie za mną.

Nalazł tam jakiegoś chłopaka co mu koni tymczasem pilnował, a sam poszedł za żydem, ale daremnie bo żyda nigdzie nie znalazł a do tego jeszcze go i nie znał, krzyczeć gwałtu nie wypada a tu i pieniędzy szkoda, z niczem powrócił do wozu, jeszcze na szczęście miał przy sobie pięć centów zapłacić temu co mu koni pilnował i miasto zarobku stracić musiał, a

o gorzałce to już i myśleć o tem nie miał co, bo był worek głodny a na bórg nigdzie nie dali.

M. O., wieśniak z Bachórza.

II.

Z a b o b o n.

Już to z każdym dniem nabierają u nas ludzie coraz więcej rozumu, ale przecież znajdzie się jeszcze taki człowiek co to wierzy w zabobony, jakoby żydzi w cielca. Owóż do takich nieświatłych ludzi należy Antoni Chrzan z Bachórza. Pewnego czasu przyszła do jego domu cyganka i zaczęła rozmowę, czy im co w domu nie brakuje; a może jakie czary w domu mają, bo ona by na to wszystko poradziła. Gospodarz leżąc na piecu odpowiada:

— Oj moiściewy brakuje, brakuje, mam jednę krowinę a nie wiem co to jest za przyczyna, że mi cielną zostać nie chce

A cyganka na to:

— Mój gospodarzu ja na to duchem poradzę jeżeli chcecie.

— A czegożbym nie chciał jeżeli wy mi tak dobrze poradzicie.

— To ja poradzę gospodarzu i to na pewne możecie się na mnie spuścić, bo to wiecie, że cygani wszystko wiedzą.

Kazała dać miskę, a na miskę wody a do tej wody nasypać soli i dwie kwaterki mąki, rozkłóciła to cyganka, i zaczęła cygańskim językiem nad tem bełkotać, powiadając, że ona to robi na to, aby czary od krowy odpędzić, skoro jej da tę wodę z mąką i ze solą wypić, a potem trzeba będzie krowinę do woła odprowadzić, a jak ją przywiedziecie od woła do domu to ją także trzeba wybić cierlicą po grzbiecie, to na pewne zostanie cielną, bo ja już tak poradziła, że będzie cielną. A wy gospodarzu za tę moją robotę, żem wam tak dobrze i życzliwie zrobiła, dajcie mi garniec żyta, i trzy łokcie płótna na koszulę i fartuch, bo ja mam na sobie łachy już potargane, jeno z chęcią mój gospodarzu, boby krowa nie była cielną jakbyście się opierali.

Gospodarz zawołał na swoją żonę:

— Maryna a daj jej tam tego żyta, płótna i fartuch, wszakże to wszystko niczem, kiedy krowa będzie cielną.

— A tak, mówi cyganka, bo to u was więcej znaczyć będzie że krowa będzie miała cielę niżeli u mnie to com od was wzięła. A teraz mój gospodarzu na czary macie dać chustkę, a do chustki dwadzieścia centów i w to do tej chustki naplujcie trzy razy, bo ja nad tem będę mówić zaczarowany sposób a potem cisnę na granicy jakiej wsi, a kto to zdejmie to on się takiej biedy nabawi, że mu krowy cielnemi nie będą.

Skoro to cyganka wszystko zabrała, wprędce wychodzi z domu, śmiejąc się w skrytości, że na tak łatwowiernego natrafiła.

Michał z pod Dynowa.

RÓŻNOŚCI.

Piękne wesele. W Poznańskiem, w włości Kurniku odbyło się zeszłego miesiąca wesele, o którem tamtejsi ludzie długo pamiętać będą. Córka dziedzica Kurnika, hrabianka Działyńska brała ślub z hrabią Potockim. Otóż widzicie na wesele wzięli państwo młodzi na drużbów i drużki parobków i dziewki wiejskie z Kurnika a w gości całą gromadę sprosili. Przed południem 16 chłopaków kurnickich i 12 dziewcząt udało się po pannę młodą, aby ją poprowadzić do kościoła, a wszyscy poubierali się prześlicznie; dziewczęta w niebieskich spodniczkach a czerwonych stanikach i z kwiatuszkami na głowie, chłopcy zaś wedle tamtejszego zwyczaju w szare czapeczki baranie, w sukmany granatowe i z białemi wstęgami u ramienia. Dziewczęta siedziały po cztery na jednym czterokonnym wozie a przed nimi zasiedli grajek i dudarz. Tak odwieźli ci weselni pannę młodą do kościoła. Pana młodego wiodły do ołtarza dwie dziewki wiejskie. Po ślubie poczęło się dopiero wesele sute i prawdziwie polskie. Wieśniaków było na tem weselu kilkaset a wszyscy jedli, pili i bawili się pospołu z panami. Widać, że tam pan z ludem w serdecznej przyjaźni żyje!

Dobra odpowiedź, Przed powstaniem polskiem z roku 1830 rządził był w Warszawie brat cara moskiewskiego, Wielki książę Konstanty. Był to srogi strasznie człowiek, dziki i okrutny, a już z samego wejrzenia niemiły, bo miał twarz brzydką i nos jak haczek do góry zadarty. Otoż ten W. K. Konstanty dał się najbardziej we znaki wojsku, bo niezmiernie był surowy a przytem zachciewało się mu nieraz dziwnych rzeczy. Raz nakazał Wielki Xiąże, aby całe wojsko polskie wystąpiło na paradę, i aby każdy wojak, czyto prosty

czy oficer, miał wąsy podkręcone mocno do góry. Wszyscy też popodkręcali do góry wąsy wedle rozkazu a tylko jeden pułkownik, zuch tęgi, co potem jak wybuchła wojna prażył Moskwę jak ukropem, nie podkręcił wąsa do góry, mówiąc sobie:

— A co mi tam za niewola, abym ja te fanaberje z wąsami wyrabiał, dla tego, że się tam komuś tego zachciewa. Jak mi wąs rośnie, niech i tak zostanie.

Przyjeżdża Wielki Xiąże na paradę, przegląda wojsko — patrzy — wszyscy mają wąsy do góry, jeno jeden ten pułkownik nie. Rozgniewał się tedy okrutnie i posyła do niego swego adjutanta, aby go się zapytał, czemu wedle rozkazu nie zrobił. Adjutant nadjeżdża do pułkownika i mówi:

— Wielki Xiążę kazał mi się zapytać, czemu pan pułkownik ma wąsy na dół, kiedy wszyscy mają do góry?...

A ów pułkownik na to:

— A zapytaj że się Wielkiego Xięcia, czemu on ma nos do góry, kiedy wszyscy mają nos na dół?..

Adjutant wraca i powiada, a Wielki Xiążę wielce się tym despektem rozgniewał, ale nie pisnął ani słowa, bo wiedział, że ten pułkownik nie da sobie lada za co dmuchać w kaszę.

Syr i Gomuła. Król polski Jan III Sobieski wolniejsze od zatrudnień chwile spędzał z swym przyjacielem i powiernikiem. Tym przyjacielem był Gomuła, tęgi żołnierz i dobry Polak. Owoż ten Gomuła nie umiał żadnym językiem mówić, jeno swoim polskiem. Kiedy Jan III wrócił z swojej sławnej wyprawy z pod Wiednia, gdzie to Turków zgniótł na miazgę, przychodziły do niego z całego świata od rozmaitych monarchów powinszowania do tak świetnego zwycięztwa. Przybył więc także poseł francuzki a wprowadzony do sali zastał dwie osoby, króla i jego przyjaciela Gomułę, w niemałym był przeto kłopocie, który z obu jest królem, bo Jana Sobieskiego nie znał. A że Gomuła był wyższy i tęższy, więc Francuz myślał sobie, że to on jest królem i zaczyna do niego przemawiać po francuzku i nazywać go *Sir*, co znaczy we Francji królewski tytuł. Gomuła nie umiał po francuzku, ale wiedział, że *Sir* znaczy tyle co Najjaśniejszy Panie, — wskazał więc na króla ręką i rzekł Francuzowi grubszym głosem: „Ten pan jest Syr, a ja Gomuła!...“

Krwawa bójka. W karczmie na przedmieściu w Stryju, przyszło niedawno między kilkoma wyrobnikami od kieliszka do bójki, która się na tem skończyła, że jeden drugiemu rozpruł brzuch ostrem narzędziem. Zranionego śmiertelnie odwieziono do szpitala, a winowajcę oddano w ręce sprawiedliwości. Widzicie ludzie kochani, do czego też ten kieliszek prowadzi! Człowiek powinien od niego uciekać, jak od ognia, a tu niestety między nami jeszcze jest dużo tych, co bez kieliszka ani rusz.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.